



Andrzej W. Sawicki "Uwaga! Znowu porcja nic nie wartych porad dla początkujących autorów"

A.Mason

Piętnaście lat temu na łamach Fahrenheita zadebiutował Andrzej W. Sawicki (opowiadanie to znajdziecie [tutaj](#)).

Z okazji rocznicy przygotował on dla naszych Czytelników specjalny prezent: autorski opis prawidłowego przebiegu procesu twórczego!



© A.MASON

Proces tworzenia przez Andrzeja opowiadania, które znaleźć można w antologii "Szpony i Kły".

Dziś rano, na skutek niezborności ruchów i wrodzonej pierdołowatości, uderzyłem się dechą prosto w czoło. I to tak solidnie, że nie tylko zobaczyłem gwiazdy, ale dodatkowo naznaczyłem się paskudną szramą. Jestem teraz z wyglądu kimś pomiędzy Harrym Potterem a panem Zagłobą. Ten ostatni opowiadał, że ranę na czole zadała mu tatarska strzała, choć tak naprawdę oberwał kuflem w łeb w karczemnej bójce. Też powinienem wymyślić sobie jakąś wzniosłą legendę, by móc szczyć się swoją szramą. Oczywiście na wypadek, gdyby kogoś zainteresowała, co wątpliwe. Ale gdyby tak się stało, mógłbym opowiedzieć, jak stoczyłem nierówny bój z groźnym, na poły mitycznym stworem, na przykład z kornikiem drukarzem.

W wymyślaniu my, fantaści, jesteśmy bardzo dobrzy. Każdy z nas, kiedy już się naczyta i naogląda, to nie ma siły, prędzej czy później sam zapagnie stworzyć coś własnego. Poświadczą o tym redaktorzy *Fahrenheita*, którzy przez dwadzieścia kilka lat działalności przeczytali tysiące dowodów na twórczą płodność Polaków.

Jestem jednym z legionu samozwańczych pisarzy, którzy powodowani pychą i brakiem samokrytycyzmu, wysłali swoje twory do redakcji. Ja zrobiłem to dokładnie 15 lat temu, w co sam nie mogę uwierzyć. Od tego zaczęło się dla mnie pasmo udręk wyobraźni, bo redakcja, zamiast cisnąć mój tekst do kosza, przeczytała go, zredagowała i opublikowała. To jakby dać szaleńcowi brzytwę do ręki, a do tego jeszcze naszeptać mu do ucha różnych mądrych rad, by utwierdził się w swoim szaleństwie. W moim przypadku tym szeptem był mail od Iki, w którym mi napisała, że mam talent do opowiadania historii. Ta niewinna uwaga pchnęła mnie w ramiona choroby grafomańskiej, od której nie mogę się uwolnić. Ika chyba nie planowała stworzenia potwora literackiego, to był tylko niewinny komplement dla początkującego twórcy. Ale cóż, stało się.

Do dziś opublikowałem 24 powieści i drugie tyle opowiadań. Jedno i drugie, nie ma co się okłamywać, nie najwyższych lotów. Wcale tego nie planowałem, po prostu zacząłem wymyślać historie i nie mogę przestać. Nie zrobiłem mimo tego czegoś, co można by nazwać karierą literacką, jestem tylko taśmowym producentem z grubsza poprawnych, gładko się czytających, takich sobie opowieści. I właśnie dlatego czuję się kompetentny, by samemu udzielać rad. Każdy autor ma coś takiego. W pewnym momencie osiąga taki stan, w którym zaczyna mu się wydawać, że jest kompetentny, by pouczać młodzież.

To teraz ja zamieszcze kilka uwag o pisaniu. Mogą (ale nie muszą) być potraktowane jako rady, ale ostrzegam, pochodzą od autora, który w zasadzie nie istnieje w świadomości czytelników. Co prawda nadal publikuje, ale nie jako autor bestsellerów, tylko niczym seryjny morderca literatury.

Uwaga, skupiam się i opisuję prawidłowy przebieg procesu twórczego.

1. Po pierwsze research, zwany bardziej elegancko kwerendą lub nawet badaniami literaturowymi. Chodzi o to, by wiedzieć o czym się pisze i nie sadzić zbyt wielu bzdur. Mimo że piszemy fantastykę, nie wypada wszystkiego wyssać z palca. Do pisania zawsze należy się przygotować. Najbardziej mają przerąbane ci, którym przyjdzie do głowy pisać fantastykę naukową. Muszą się orientować w stanie techniki i znać prognozy na jej rozwój. Głowa zaczyna boleć, gdy tylko się o tym pomyśli. Na szczęście nikt już prawdziwego SF nie pisze ani nie czyta, więc możemy ten problem zignorować. Autorzy biorący się za fantasy muszą sobie z kolei wynotować trochę słów związanych ze średniowieczem – karwasz, misiura, suspensorium, dzuma. Do tego wypada pograć trochę w Wiedźmina 3 i obejrzeć taki nudny, długaśny film „Władca pierścieni”. I już jesteśmy otrzaskani w fantasy. Ten gatunek też jednak powoli schodzi na margines, ostatnimi laty rządzi urban fantasy albo realizm magiczny, jak zwał. Tu już niczego nie musimy badać i o niczym czytać, bo piszemy historię osadzoną we współczesnych realiach i we własnym miasteczku, a nawet we własnym ogólniaku lub na osiedlu, tylko wrzucamy do niej postaci obdarzone magicznymi mocami, będące aniołami, wilkołakami, obarczone klątwą nieśmiertelności, rozmawiające z umarłymi i tak dalej. Czym głupiej i bardziej infantylnie tym lepiej.
2. Kiedy mamy już przeczytaną literaturę tematyczną, ograne gierki i obejrzone filmidła, możemy brać się za robotę. Ale najpierw przygotowania i nastrój. Robimy sobie aromatyczną herbatę i wlewamy ją do ulubionego kubeczka z narysowanym śmiesznym stworem i motywacyjnym hasłem, bierzemy zapasy czekolady, kota, ciepły kocik, różowego laptopa i włączamy spotify z muzyką magiczną i inspirującą. Wczuwamy się w główną bohaterkę, która jest pozornie zwykłą nastolatką, której nikt jeszcze nie kocha i nie rozumie, ale tak naprawdę jesteśmy półboginią i następczynią tronu w mieście aniołów, tylko uprowadzoną za młodu przez pięknego, ale

złowrogięgo księcia ciemności. Chce nam się płakać i oczy wypełniają nam łzy, gdy wczuwamy się w swoją postać, a jeszcze nawet nie zaczęliśmy pisać. Zjadamy zatem czekoladę, głaskany zbyt zapamiętałe kot kęsa nas w palec i wskakuje na klawiaturę, a przy okazji wylewa aromatyczną herbatę wprost na komputer. Tak oczywiście robimy, gdy jesteśmy dziewczyną piszącą urban fantasy. Kiedy przypadkiem jesteśmy chłopakiem i piszemy space operę z kosmicznymi bitwami i marines walczącymi na powierzchniach obcych, śmiertelnie groźnych planet, podchodzimy do pisania zgoła inaczej. Otwieramy okno, by chłodziły nas i hartowały smagnięcia lodowatego wichru, pijamy dwa red bulle i z pogardą miażdżymy ich puszki. Jest noc, zakładamy słuchawki, by nie słyszeć jak za ścianą sąsiad się odlewa, włączamy konkretną muzykę, ale coś ostrzejszego od Dawida Podsiadło. I czujemy się jak na pokładzie krążownika bombardowanego tachionowymi torpedami, który sunie w ogień ku ramionom Oriona. I nagle oślepią nas promieniowanie kosmiczne lśniące w ciemnościach u wrót Tannhausera. A nie, to tylko ojciec zapalił światło, bo chciał sprawdzić, czy po nocy nie oglądamy pornosów.

3. W końcu nadchodzi moment, gdy na poważnie bierzemy się za pisanie. Korci nas, by zacząć od narysowania mapy swojego świata, wymyślenia i szczegółowego opisu jego historii, wszystkich religii, ras, stworzenia bestiariusza i księgi magii, rozpisania geopolityki, zrobienia rysu wielkich konfliktów społecznych, rasowych i politycznych. Nie zapominamy o językach narodów i ras, ich mitycznych dziejach i przekleństwach, jakie nad nimi ciąży. Na szczęście nie jesteśmy Tolkienem ani Sapkowskim i zamiast tego od razu przechodzimy do rzeczy. Zaczynamy od sceny w karczmie, w której bohater kogoś zabije, a potem dostanie zadanie. Gdzieś już to było, ale nieważne, od czegoś trzeba przecież zacząć. Jeśli natomiast piszemy coś z realizmu magicznego, zaczynamy od sceny, w której nierozumiana przez rodziców, przyjaciół i resztę świata bohaterka wstaje z łóżka i schodzi na dół, by zjeść śniadanie. To, można powiedzieć, kanon. Ale zanim do niego dojdzie, należy napisać pierwsze zdanie. Otwieracz jest bardzo ważny i tylko dzięki niemu czytelnik być może przeczyta drugie zdanie. To może być to zdanie, dzięki któremu przejdziemy do historii, nasze „Ogary poszły w las”. Musi mieć moc i intrygować. Mnie się jeszcze nie udało go napisać, ale może czytający te rady okażą się bardziej utalentowani.
4. Związujemy akcję, wprowadzamy bohatera i zmuszamy czytelnika, by mu kibicował. Najłatwiejszy sposób to zrobić protagoniście krzywdę, trochę go zeszmacić i przeczłgać. Jeśli jest piękną księżniczką, niech zostanie zdradzona, zamieniona w niewolnicę, pobita i zgwałcona. Jeśli to wojowniczką, niech zamordują jej brata, ją okaleczą i zrzucą z balkonu. Facetami pomiatamy w inny sposób, krzywda fizyczna tak bardzo nie wzrusza, jak w wypadku zadawania jej kobietom. Chłopa odzieramy z godności bardziej wyrafinowanie, ale bez przesady, bo nikt nie będzie kibicował ostatniej ciamajdzie. Niech już będzie mistrzem miecza, ale odrzuconym na marginesie społeczeństwa przez swoje pochodzenie. Jeśli książę, to niech trafi na pustynną planetę, gdzie wszystko zostanie mu odebrane, a on skazany na ucieczkę na pustkowiu. Nastoletnia Mary Jane z kolei spotyka się w ogólniaku z szyskanami, ze względu na zbyt oryginalny kolor oprawek okularów, a chłopaki nie zwracają na nią uwagi, co jest straszliwie bolesne. I tak dalej, rozumiecie o co cho.
5. Dalej trzeba zapełnić powieść lub opowiadanie jakąś treścią, jaką akcją, mięsem, laniem wody, nawijaniem waty, wypełnieniem słownym. Coś tam się ma dziać, bohater ma ulegać przemianie, ma dojrzewać, zmieniać się i robić coraz fajniejszy. Wypruwamy sobie zatem żyły, by nasza skrzywdzona królewna zamieniła się w maszynę do zabijania, nastoletnia potomkini władców miasta aniołów ma porzucić liceum i wyruszyć po swoje dziedzictwo, zostawiając lamusów teraz zachwyconych jej urodą. Książę wygnany na pustynię jeździ na gigantycznych robakach, wojowniczką z balkonu zbiera bandę degeneratów i morduje pierwszą ofiarę, a potem drugą i trzecią. Męczymy klawiaturę, zjadamy czekoladę, głaskamy kota, pijamy następne red bulle. Robota mozolnie się posuwa.
6. W końcu nadchodzi pora napisania finału i zakończenia. To jeszcze trudniejsze niż zdanie-otwieracz. Przede wszystkim musimy pamiętać o tym, co wtłoczyli mi do łba w Fahrenheicie –

w dobrej opowieści powinien być jakiś suspens, trzeba zaskoczyć czymś czytelnika, nie podawać mu wszystkiego na tacy. Jednocześnie musimy pamiętać o unikaniu deus ex machina. Zaskoczenie ma wynikać z elementów, które wcześniej ukryliśmy w tekście, nie może być wyciągnięte z dupy. Dlatego nasza nastolatka zostaje władczynią wszechświata, bo wcześniej już wiele na to wskazywało, ale by zaskoczyć czytelniczki, odrzuca ten dar i wraca do swojego ogólniaka, umawia się na randkę z pryszczatym nerdem, choć przecież kochają ją wszystkie wampiry i anioły w kontinuum! To takie fajne i wzruszające, że chce nam się płakać i znów kot wylewa nam herbatę na klawiaturę, ale na szczęście, pomne pierwszych doświadczeń, robiłyśmy kopie zapasowe i to w chmurze, gdzie kot nie ma dostępu. Tymczasem załoga krążownika przeszła przez pogrążone w ogniu ramiona Oriona i bramę Tannhausera, po czym zmiażdżyła flotę owadzi obcych próbujących zniszczyć galaktykę. Nasz bohater mógłby zostać komandorem floty, ale odrzuca ofertę, by pozostać na swym okręcie, bowiem kocha go sztuczna inteligencja wizualizująca się jako hologram nagiej piękności. I wtedy okazuje się, że sterują nią owadzi obcy, a wirtualna kochanka wpisuje do świadomości bohatera zdradzieckiego wirusa, dla pokonania którego autor musi napisać drugi tom. Chyba znów wiecie o co cho, bo przecież sami też czytacie książki i wiecie, jak powinno wyglądać dobre zakończenie. Nie wiem, po co ja to piszę.

7. Nadchodzi kluczowy moment naszej kariery – poszukiwania wydawcy. O tym jak złe są demoniczne firmy udające wydawców, a oferujące druk za pieniądze, nie muszą chyba powtarzać, bo to było sto razy omawiane. Unikajcie vanity, bo to czyste zło. Wysyłajcie teksty tam, gdzie płacą, i czekajcie. Nadszedł w końcu ten moment: dowiadujecie się, jak wygląda prawdziwe życie autora. Okazuje się, że to przede wszystkim czekanie. Na odpowiedź wydawcy, na redakcje, umowy, przelewy, druk, egzemplarze. I odechciewa się wszystkiego, bo mijają miesiące i zapomnieliście już, o czym była ta cholerna powieść. Potem jest ekstaza, gdy bierzecie w rękę swoją książkę, prawdziwą, papierową, może nawet z obrazkami. Potem już tylko sława i chwała, dajecie książkę rodzinie i najbliższemu kumplowi, a on pyta, czy się ruchają i gdzie są obrazki z gołymi babami. Po jakimś czasie odkrywacie, że napisanie i wydanie książki niczego nie zmienia i dalej jesteście przegrywami. Ale piszecie nadal, bo zdążyliście się od tego uzależnić. Nie wiem, jaki to ma sens i gdzie tu suspens oraz puenta, dlatego kończę ten felieton.

Andrzej W. Sawicki